

Demokracja nieliberalna czy liberalna niedemokracja?

Cywilizacja zachodnia na rozdrożu

Prawdopodobnie od zawsze, czyli od czasu kiedy zaczęliśmy oddzielać przeszłość i przyszłość od terażniejszości, dążymy do zrozumienia nie tylko tego, kim jesteśmy, ale także skąd przychodzimy i dokąd zmierzamy. W cywilizacji chrześcijańskiej najważniejszym wydarzeniem w dziejach świata od jego stworzenia było pojawienie się Zbawiciela. Pamiątką po tej cywilizacji jest kalendarz, którym na chwilę obecną wciąż jeszcze się posługujemy. Piszę w ten sposób, ponieważ obserwując rugowanie chrześcijańskiego dziedzictwa ze wszystkich sfer życia publicznego, nie mogę wykluczyć, że również sposób mierzenia czasu zostanie zmieniony. Nie jest to fantazjowanie: już raz kalendarz gregoriański został zastąpiony kalendarzem rewolucyjnym w 1793 roku i obowiązywał przez blisko 12 lat na terenie kontrolowanym przez antychrześcijańską Francję. W 1871 roku Komuna Paryska podjęła drugą próbę wprowadzenia nowego sposobu datowania dziejów, jednak wkrótce upadła. Powtórzę: nie jest to fantazjowanie, jako że na naszych oczach dokonuje się przekształcenie Bożego Narodzenia w Gwiazdkę czy Winter Holiday Season. Pamiętam, że w okresie mojego dzieciństwa komuniści rządzący Polską propagowali Dziadka Mroza zamiast Św. Mikołaja, natomiast dzisiaj wszechobecna jest postać klauna w czerwonym kubraku z białą brodą. Podobne przykłady skutecznego rugowania chrześcijaństwa ze sfery publicznej można mnożyć. Zresztą, zjawisko rugowania śladów przeszłości dotyczy nie tylko dziedzictwa chrześcijańskiego, ale również wszystkiego, co odróżnia współczesnego mieszkańca Zachodu od przeszłych pokoleń. Na gruzach cywilizacji chrześcijańskiej dokonuje się obecnie proces przewartościowania nie tylko pojęć ale również zbiorowej pamięci. Skądinąd wiadomo przecież, że kto kontroluje przeszłość ten kontroluje przyszłość. Nawiasem mówiąc, nie jest przypadkiem, że w 2023 roku lektura powieści takich jak „1984” czy „Nowy wspaniały świat” nasuwa nieodparte wrażenie realistycznego opisu dzisiejszego Zachodu.

Zanim przejdę do wyjaśnienia tytułowego pytania o demokrację i liberalizm, chcę podkreślić, że w moim głębokim przekonaniu, podejmowanie obecnie prób opisu Zachodu jako cywilizacji rozdartej między chrześcijaństwem a wartościami tzw. oświecenia jawi się jako anachronizm. Chrześcijaństwo przegrało. Odniosło wprawdzie tzw. pyrrusowe zwycięstwo nad ideologią komunistyczną, co mogło niejednego analityka doprowadzić do złudnego przeświadczenia, że religia i kultura chrześcijańska stanowią wciąż liczącą się siłę, jednak w następstwie rozpadu systemu komunistycznego pod koniec XX wieku, nastąpiła nagła radykalizacja liberalizmu, dotychczas powstrzymywana obawą przed zwycięstwem komunizmu. Ofensywa radykalnego liberalizmu, zasilonego przez liczne grono nawróconych na liberalizm marksistów, wzmocnionej skutkami społecznymi gwałtownej rewolucji technologicznej, doprowadziła w okresie zaledwie kilku dekad do destrukcji obozu chrześcijańskiego na podobieństwo lustra rozbitego na drobne odłamki. Na placu boju o „rząd dusz” na Zachodzie pozostała niejednorodna ideologia radykalnego liberalizmu, zdefiniowana przez postoświeceniowych intelektualistów, takich jak Karol Marks, Zygmunt

Freud czy Herbert Marcuse, kwestionujących dotychczasowy porządek i dążących do wyzwolenia jednostki z okowów zwyczajów i tradycji, zerwania wszelkich organicznych więzów wspólnotowych. Ważne jest, by stale mieć na uwadze, że współcześni liberałowie nie mają zbyt wiele wspólnego z protoplastami klasycznego liberalizmu, takimi jak John Locke, który nie kwestionował istniejącego porządku i był sceptykiem, oceniającym pozytywnie rolę religii w życiu człowieka, posługującym się tradycyjnym pojęciem wolności, jako stanu niezależności od nieuprawnionej władzy politycznej. Nawiasem mówiąc, również obecni chrześcijanie, z papieżem Franciszkiem na czele, znacząco różnią się od swoich poprzedników, takich jak Benedykt XVI, Jan Paweł II, nie wspominając porzuconego nauczania papieży przedsoborowych, czyli encyklik publikowanych zaledwie około sto lat temu.

Nowa sytuacja na Zachodzie, polegająca na praktycznym wyeliminowaniu chrześcijaństwa jako realnej alternatywy wobec radykalnego liberalizmu, nasuwa konieczność dokonania rozpoznania rzeczywistego stanu jak i potencjalnych możliwości dalszych zmian.

Problem definicji pojęć

Na początek kwestia definicji: ważna i skomplikowana. Skomplikowana dlatego, że obecnie nawet w nauce nie ma zgody co do znaczenia niektórych podstawowych pojęć. Cóż, takie czasy. Najważniejsze w moim eseju jest zrozumienie, że nastąpiła zmiana definicji pojęcia „wolności”. Otóż dominujący obecnie radykalni liberałowie przeprowadzili zmianę, która w efekcie wywołuje błędne przekonanie, że to oni są kontynuatorami wielowiekowej tradycji „wolnościowej”, sięgającej korzeniami greckiej *polis*. Tymczasem rzeczywistość jest diametralnie odmienna: współcześni ideolodzy liberalizmu są wyznawcami bardzo świeżego światopoglądu, który z uwagi na swoją dynamikę, znajduje się na etapie krystalizacji i w związku z tym wymyka się jednoznacznej ocenie. O wiele łatwiej jest opisać czym było pojęcie wolności, czyli jak je pojmowano przez stulecia i poprzez porównanie wykazać, że nie było tym, co obecnie rozumie się (cokolwiek by to znaczyło) pod tym pojęciem. **Wolność w rozumieniu starożytnych Greków była równoznaczna z wolnością *polis*, prawem zbiorowości- organicznej wspólnoty - do decydowania o sobie. Wolność była pojęciem politycznym i ograniczającym się do sfery politycznej - nie obejmowała sfery życia prywatnego.** Nawet w najsłynniejszej demokracji ateńskiej jednostka nie posiadała żadnych praw do kwestionowania obowiązujących norm moralnych czy porządku religijnego, a prawa obywatelskie posiadała mniejszość mieszkańców *polis*. Jak wykazał Fustel de Coulanges, religia stanowiła podstawę życia społecznego w miastach, a usankcjonowany porządek (ład) opierał się na rodzinach. Ówczesny porządek społeczny był hierarchiczny i dzielił ludzi na kasty: obywateli, nieobywateli, kobiety i dzieci, niewolników. W Republice Rzymskiej lud stanowił prawo, ale życie rodzinne i społeczne było kontrolowane przez cenzorów, o pozycji jednostki decydował jej stan posiadania, głowa rodziny była panem życia i śmierci wszystkich członków rodziny, nie wspominając o sytuacji niewolników czy kobiet.

Dopiero w chrześcijańskiej Europie rola jednostki znacząco wzrosła, w niektórych krajach zagwarantowane zostały prawa, które zabezpieczały niektóre jednostki - należące do

warstwy uprzywilejowanej - przed samowolą władcy. Nie zmieniło się natomiast rozumienie wolności jako prawa zbiorowości do stanowienia o sobie poprzez system reprezentacyjny. W reakcji na wzrost znaczenia władców absolutnych w XVII i XVIII wieku i rozwój nowoczesnych struktur państwowych, pojawiło się dążenie do poszerzenia coraz bardziej zagrożonej sfery autonomii jednostki: prawa do wyrażania opinii, praktykowania wyznawanej religii, przemieszczania się. Trzeba koniecznie podkreślić, że liberalne swobody wzrastały na gruncie chrześcijańskiej koncepcji niezbywalnej godności człowieka. Późniejszy rozkwit liberalnej demokracji nastąpił w wyniku zwycięskiej konfrontacji narodów z nowożytnym absolutyzmem monarszym. Katalizatorem dokonujących się zmian był rozpad systemu feudalnego i stanowego, rozwój handlu międzynarodowego a także rozwój nowoczesnych struktur państwowych, przede wszystkim zaś wprowadzenie obowiązkowej służby wojskowej.

Jeszcze raz powtórzę to, co ma kluczowe znaczenie dla odróżnienia dawnego pojęcia wolności i praw obywatelskich od współczesnego rozumienia „praw człowieka” i liberalnych tzw. „wartości”. W przeszłości zawsze istniał ścisły związek między prawami i obowiązkami obywatelskimi. Pierwsze wynikały z drugich. Swobody jednostkowe stanowiły rekompensatę czy nagrodę za osobisty wkład wniesiony na rzecz wspólnoty. Trzeba było zasłużyć i dojrzeć do bycia wolnym człowiekiem. Jeszcze rewolucjoniści francuscy, choć wychowani na lekturze Jana Jakuba Rousseau, dla którego wolność była równoznaczna z brakiem zobowiązań, wymagali od jednostek wykazania się wolą uczestnictwa w życiu publicznym, aktywnością – bez której nie wyobrażali sobie, by ktoś mógł korzystać z praw obywatelskich. To po pierwsze. Natomiast po drugie, prawa człowieka rozumiano, jakbyśmy to dzisiaj określili: „wąsko”, to znaczy w kontekście politycznym, jako koncepcję alternatywną w stosunku do władzy absolutnej. Tego zachodniego zmagania z władzą absolutną w imię przyrodzonych praw człowieka nie rozumiano w Polsce, w której władza od wieków znajdowała się w rękach narodu. Sugestywnie pisał o tym Adam Mickiewicz w „Panu Tadeuszu”:

„Podczaszyc zapowiedział, że nas reformować,

Cywilizować będzie i konstytuować;

Ogłosił nam, że jacyś Francuzi wymowni

Zrobili wynalazek, iż ludzie są równi;

Choć o tym dawno w Pańskim pisano zakonie

I każdy ksiądz toż samo gada na ambonie.

Nauka dawną była, szło o jej pełnienie!”

Doprecyzowując, ogłoszone pod koniec XVIII w. prawa człowieka i obywatela jedynie w punkcie wyjścia miały charakter powszechny, w praktyce nawet w programie najbardziej radykalnych rewolucjonistów były one ograniczone nie tylko do sfery politycznej ale ponadto dotyczyły jedynie grupy białych mężczyzn płacących podatki i posiadających

stały adres zamieszkania, czyli mniejszości w społeczeństwie. Taki stan utrzymywał się w dziewiętnastym wieku w wiodących państwach demokratycznych i liberalnych, takich jak Francja, w których niezależnie od zmieniających się form rządów, konsekwentnie przyznawano prawa wyborcze mniejszej lub większej, ale zawsze mniejszości mieszkańców, spełniających określone wymagania, dopuszczonych do udziału w społeczeństwie obywatelskim.

Współczesne rozumienie wolności jako powszechnego i uniwersalnego zestawu niezwykłych praw jednostkowych kształtowało się stopniowo. W punkcie wyjścia, czyli pod koniec XVIII wieku chodziło przede wszystkim o zakwestionowanie uroszczeń władcy absolutnego, następnie pojawiło się dążenie do zniesienia podziału społeczeństwa na stany; w miarę rugowania „średniowiecznych” instytucji i „zabobonów”, upowszechniało się utożsamianie pojęcia wolności z wolnością od zobowiązań, natomiast w punkcie docelowym, czyli **współcześnie**, umownie od ogłoszenia w 1948 r. Powszechnej Deklaracji Praw Człowieka, **wolność rozumie się jako prawo każdej jednostki do bycia władcą absolutnym**. O tym, że nie przesadzam świadczy fakt, że obecnie kwestionuje się nawet treść wspomnianej deklaracji, uznając że należy ją poszerzać o kolejne prawa (prawo do aborcji, prawo do wyboru orientacji seksualnej). W ten sposób zabrnęliśmy w ślepią uliczkę, napotykać na nieprzekraczalną barierę, której istotą jest niemożność pogodzenia ze sobą sprzecznych praw jednostkowych, których katalog uległ rozszerzeniu na sferę światopoglądową, sferę życia społecznego i gospodarczego, co oznacza dążenie do zlikwidowania nie tylko niedemokratycznych rządów politycznych, ale również do zniesienia ograniczeń wynikających z tradycji, utrwalonych norm i zwyczajów. Nie ma wyjścia z tej pułapki, albo inaczej mówiąc, są dwa wyjścia: dokonać zwrotu wstecz, wracając do fundamentów na jakich wyrosła cywilizacja zachodnia: filozofii greckiej, religii chrześcijańskiej, prawa rzymskiego, lub podążać w kierunku dalszego poszerzania zakresu praw jednostkowych, wymagającego jednak rozbudowy coraz bardziej skomplikowanego systemu zabezpieczeń prawnych, regulujących stosunki między jednostkami i zapewniających zachowanie (utrzymanie) elementarnego porządku w zbiorowości zatimizowanych jednostek, która w coraz mniejszym stopniu przypomina społeczeństwo, a w coraz większym stopniu stanowi zwyczajną masę, czy też ślepy tłum.

Podobna zmiana nastąpiła w definicji pojęcia „demokracji”. **Tradycyjna definicja, zgodna z greckim określeniem „rządów ludu”, w najprostszym ujęciu oznaczała: suwerenność narodu, czyli taki ustrój, w którym suweren ma możliwość swobodnej ekspresji i gdy ekspresja ta ma wpływ na bieg dziejów narodu i jego państwa**. Jak trafnie doprecyzował jeden ze współczesnych badaczy, w tym tradycyjnym rozumieniu: „Nie ma więc demokracji bez ekspresji suwerena. Nie ma demokracji, jeśli polityczni decydenci nie są podporządkowani woli suwerena. Nie ma demokracji, jeśli władza nie pochodzi z wolnego wyboru.” Jednakowoż współczesna potoczna definicja demokracji różni się od tej tradycyjnej, stosowanej jeszcze w nauce. **W dominującym współcześnie dyskursie pod pojęciem demokracji rozumie się rządy opierające się na ideologii głoszącej prawo każdej jednostki do bycia władcą absolutnym**, odwołujące się wprost do Powszechnej Deklaracji Praw Człowieka, traktowanej ideologicznie jako akt prawny nadrzędny w stosunku do

konstytucji i władzy państwa i – paradoksalnie - podlegający dowolnym zmianom, idącym w kierunku dalszego rozszerzania katalogu nowych praw, w miarę ich odkrywania lub uświadamiania sobie ich istnienia. Każdy, kto zakwestionuje powyższe rozumienie pojęcia „demokracji”, może zostać oskarżonym o bycie „populistą” lub nawet „faszystą”.

Dwie drogi

Po wyjaśnieniu na czym polega trudność, wynikająca ze zmian językowo-pojęciowych, pora przejść do tytułowego problemu, ujętego w formie pytania: demokracja nieliberalna czy liberalna niedemokracja? W moim przekonaniu, jak wskazałem powyżej, jedyną możliwością ocalenia cywilizacji zachodniej przed rozpadem spowodowanym zabnięciem w ślepy zaułek, czy też na skraj przepaści, jest dokonanie zwrotu wstecz, czyli powrót do fundamentów i korzeni. Cywilizacja nasza na przestrzeni dziejów wykształciła formę ustrojową **demokracji nieliberalnej**, czyli takiej regulacji funkcjonowania społeczeństwa, która dąży do zapewnienia równowagi między sferą wolności i autonomii jednostki a koniecznościami związanymi z istnieniem ogólnych zasad i instytucji władzy, między prawami a obowiązkami, między zmiennymi zapisami umowy społecznej i niezmiennymi prawami wynikającymi z filozofii, religii, nauki i...zdrowego rozsądku (*prudencia*). **Demokracja nieliberalna w uproszczeniu oznacza rządy ludu i suwerenność władzy reprezentatywnej wyłanianej przez naród.** Warto dopowiedzieć, że demokracja nieliberalna może przekształcić się w fasadę demokracji, czego przykładem są na przykład współczesne ustroje Białorusi czy Rosji, a w przeszłości były to np. tzw. „demokracje ludowe” w państwach bloku sowieckiego. Nie jest to jednak, wbrew krytykom z pozycji liberalnych, jedyna droga ewolucji ustroju demokracji nieliberalnej. Istnieje również niebezpieczeństwo ewolucji w przeciwnym kierunku tj. wystąpienia paraliżu państwa lub popadnięcia w stan anarchii, czego doświadczyła np. demokracja nieliberalna w I Rzeczypospolitej.

Z kolei ustrój określany współcześnie jako „demokracja liberalna”, w świetle dawnych (a nie tych obecnie stosowanych w dyskursie publicznym) definicji pojęć: wolności i demokracji, należy określić jako **liberalną niedemokrację. Jest to ustrój, który mniej lub bardziej otwarcie kwestionuje rozumienie demokracji jako rządu ludu, nie przyznaje bowiem narodowi prawa do swobodnej ekspresji i nie przyznaje mu praw suwerena. Jest to antyteza monarchii absolutnej: państwo, w którym każdy jest quasi-władcą absolutnym.** Rolę swoistego regulatora stosunków międzyludzkich pełni prawo, a fundament ustrojowy stanowią liberalne tzw. „wartości”, traktowane jako ideologiczny dogmat, najobszerniej sprecyzowane w Powszechnej Deklaracji Praw Człowieka, czyli w dokumencie, którego naród nie wytworzył ani nie uznał za najważniejsze źródło odniesienia, a ponadto dokumencie podatnym na zmienność, a więc *ex definitione* wadliwym. Dla porównania, wartości chrześcijańskie zawarte są w Dekalogu: objawionym przez Boga i niezmiennym. Cechą charakterystyczną radykalnego liberalizmu jest jego niszcycielski charakter: zmienność zasad, praw a nawet pojęć i języka nie zna ograniczeń poza zasadą dążenia do absolutyzacji praw jednostkowych, która jednak również sama w sobie gwarantuje

utrzymanie stanu zmienności, ponieważ prawa jednostkowe można poszerzać w nieskończoność.

Ideologia radykalnego liberalizmu nigdy nie osiągnie pożądanego celu, czyli stanu absolutnej wolności – prędzej doprowadzi, w miarę rozbudowy systemu prawnej kontroli nad zapewnieniem porządku w coraz bardziej zatowizowanej masie jednostek, do ukształtowania się nowej superpotężnej władzy totalitarnej. Przywołam jeden przykład: jak tylko uznano ustroje demokratyczne XIX wieku za „niereprezentatywne” z uwagi na nie przyznanie praw wyborczych wszystkim jednostkom np. kobietom, czarnoskórym Amerykanom etc., zaczęto kwestionować również reprezentatywność obecnych wyborów i wdrażać kolejne zmiany w postaci np. akcji afirmatywnej, parytetów, obniżania cenzusu wieku, progów wyborczych etc. Dążenie do nie mającego końca poszerzania praw wyborczych w imię urojonej reprezentatywności (której nigdy nie da się „zmierzyć”, podobnie jak nie można „obliczyć” większości zjawisk, tendencji czy procesów występujących w społeczeństwie), napotyka na niemożliwe do rozwiązania sprzeczności, takie jak np. pytanie o reprezentatywność wyborów, w których uczestnictwo może być albo dobrowolne bądź obowiązkowe, czy też sposób głosowania: tajny lub jawny. Dla przypomnienia podam, że nawet w okresie rewolucji francuskiej argumentowano, że jedynie jawność głosowań jest godna człowieka wolnego, że patrioci nie mają nic do ukrycia; w praktyce we Francji procedurę tajnego głosowania wprowadzono dopiero w 1913 roku wraz z kabinami do głosowania. Jak widać, uznanie „reprezentatywności” w ustroju tzw. liberalnej demokracji ma zawsze charakter tymczasowy – w miarę „postępu postępu” wkrótce również obecne ustroje demokratyczne zostaną uznane za niereprezentatywne (czytaj: niedemokratyczne) z jakiegokolwiek powodu, uznanego za istotny czynnik ograniczający absolutne prawa jednostki. Walka o zrealizowanie liberalnej utopii nigdy nie zostanie zakończona, podobnie jak każde dążenie ludzkości do zrealizowania dowolnej utopii, czy to będzie gnostycki „raj na ziemi”, czy marksowski ideał „wyzwolenia człowieka”. W drodze do zrealizowania ideału, radykalny liberalizm już dzisiaj tworzy coraz silniejsze struktury aparatu represji, zapewniające sprawowanie kontroli nad masami ludzkimi. Dodatkowe wyzwanie dla władzy liberałów stanowi zjawisko globalizacji, skutkujące utratą przez państwa narodowe kontroli nad gospodarką. Nawet taki liberał i znawca problematyki praw człowieka jak Jerzy Osiatyński przyznał, że: „Z wyjątkiem Stanów Zjednoczonych (i od niedawna Chin), państwa nie są w stanie kontrolować decyzji wpływających na ich gospodarkę”. Liberałowie, występując w obronie zagrożonych tzw. „wartości”, kroczą zatem drogą wzmacniania kompetencji struktur ponadpaństwowych, i budowania czegoś na kształt „rządu światowego”, co prowadzi do dalszego ograniczania praw narodowych i wyeliminowania nawet teoretycznej możliwości odzyskania przez narody pozycji suwerena. Jednym zdaniem: współczesne, rzekomo „reprezentatywne” demokracje liberalne są *de facto* i coraz częściej również *de jure* liberalnymi niedemokracjami.

Określenie współczesnych tzw. „liberalnych demokracji” jako niedemokracji może napotkać na niezrozumienie i sprzeciw, dlatego podam jeszcze kilka argumentów wskazujących, że ustroje państw zachodnich są coraz bardziej odległe od tego, co określamy jako „rządy ludu”. Pominę wysuwany w przeszłości argument, że demokracja jest możliwa jedynie w niewielkiej społeczności. Spójrzmy na trwający od dłuższego czasu spór pomiędzy

Komisją Europejską a rządami polskim i węgierskim. Ukazuje on, niezależnie od racji merytorycznych podnoszonych przez strony sporu, że znaczna część nadrzędnej władzy znajduje się w rękach ciała, które w żaden sposób, nawet pośrednio, nie zostało wyłonione w sposób demokratyczny i nad którym nie istnieje demokratyczna kontrola. Podobne wątpliwości nasuwa również sposób funkcjonowania Rady Europejskiej i Parlamentu Europejskiego. W Radzie Europejskiej faworyzowane są największe i najmniejsze państwa. Decyzje podejmują szefowie rządów, które nierzadko reprezentują mniejszość w krajowych parlamentach. Trudno tutaj mówić o swobodzie dyskusji i reprezentatywności władzy. Zadam retoryczne pytanie: gdzie mogę zapoznać się ze stenogramami czy transmisjami posiedzeń Rady Europejskiej? A przecież transparentność jest podstawą demokracji. Z kolei Parlament Europejski z jednej strony nie posiada kompetencji jakie powinien posiadać jako najwyższa reprezentacja woli wyborców, z drugiej strony sposób jego powoływania wskazuje, że stanowi on ciało reprezentujące poszczególne państwa, a nie Unię Europejską jako całość. Zważywszy, że Unia Europejska stopniowo przekształca się ze związku niepodległych państw w federację, należałoby przekształcić Parlament Europejski w ciało stanowiące prawo, reprezentujące narody, czyli Suwerena, z partiami europejskimi przystępującymi do wyborów zarówno na szczeblu krajowym oraz na poziomie europejskim. Symptomatyczne jest, że nigdy w historii Unii Europejskiej nie odwołano się do woli wyborców poprzez np. referendum europejskie: kluczowe dla państw członkowskich decyzje podejmowano i podejmuje się bez pytania narodów o zdanie. W coraz bardziej odległej przeszłości organizowano wprawdzie referenda na poziomie krajowym, jednak z wyraźną tendencją malejącą: o ile w 2005 roku w kilku krajach przeprowadzono lub planowano przeprowadzenie referendum w sprawie przyjęcia Konstytucji dla Europy, o tyle referendum w sprawie przyjęcia traktatu lizbońskiego odbyło się już tylko w Irlandii, gdyż obowiązek przeprowadzenia referendum jest zapisany w konstytucji tego kraju. Na dodatek, irlandzkie referenda powtarzano do momentu uzyskania wyniku zgodnego z oczekiwaniami radykalnych liberałów (2001-2002 i 2008-2009). *Notabene*, również postanowienia traktatu lizbońskiego zawierają zdecydowaną większość postanowień odrzuconej wcześniej Konstytucji dla Europy, wprowadzając je niejako „tylnymi drzwiami”, bez odwołania się do „woli ludu”. Spektakularnym objawem niedemokratycznego charakteru Unii Europejskiej jest to, że ilekroć lokalnie przewagę zyskują ruchy polityczne nie zaliczające się do dominującego obozu radykalnych liberałów, zawsze następuje mobilizacja „sił postępu” przeciwko „populizmowi”, natychmiast zapomina się o tolerancji dla odmiennych poglądów, szacunku dla woli wyrażonej przez większość obywateli w danym państwie czy obronie praw mniejszości (taka sytuacja ma miejsce np. w Radzie Europejskiej czy Parlamencie Europejskim, gdzie partie prawicowe i rządy prawicowe stanowią nieznaczną mniejszość).

Nie przekreślam problemu zagrożenia, jakie dla funkcjonowania demokracji stwarza działalność demagogów („populistów”). W politologii ten problem zawsze był obecny: już Platon w swych rozważaniach przestrzegał przed zjawiskiem degeneracji *demosu* i w konkluzji rekomendował ustrój mieszany, jako lepszy od „czystej” demokracji. Wydawałoby się, że w miarę rozwoju struktur państwowych i ponadpaństwowych, zjawiska koncentracji władzy w rękach międzynarodowych organizacji (zob. na przykład WHO) czy międzynarodowych korporacji - problem opisany wnikliwie przez Alexisa de Tocqueville’a

jako największe zagrożenie dla demokracji przez „dyktaturę większości”, stanie się przedmiotem namysłu i stałej refleksji. Niestety, niczego takiego nie obserwujemy. Problem zagrożeń dla przyszłości ustroju demokratycznego: wypaczeń, degeneracji czy zaniku społeczeństwa obywatelskiego, nie pojawia się, a jeśli zostanie podniesiony, dotyczy wyłącznie prawicowego „populizmu”. Zupełnie jakby nie istniał lewicowy populizm.

Współczesne niedemokracje funkcjonują według dwóch generalnych zasad: 1/ im rzadziej pytamy naród o zdanie, tym lepiej, 2/ im więcej szczebli dzielących wyborcę od najwyższego szczebla władzy oraz im bardziej skomplikowane prawo, tym lepiej.

Na wskazane powyżej zjawisko koncentracji władzy w rękach nieusuwalnej i niepodlegającej woli wyborców elity (w Stanach Zjednoczonych określanej mianem „deep state”), nakłada się proces zanikania postaw obywatelskich ogniskujących się wokół rzeczypospolitej (*res publica*), czyli dobra wspólnego. Trwający od dziesięcioleci demontaż wszelkich ponad i międzyjednostkowych związków, więzi, ograniczeń wykształconych w ramach norm, zwyczajów, tradycji, czy poglądów przez Edmunda Burke’a określanych mianem „przedsądów” i promocja wszelkich odmienności, mniejszości czy aspołecznych postaw, skutkuje narastającym kryzysem społecznym. Wdrażanie koncepcji tzw. „społeczeństwa otwartego” prowadzi do dezintegracji społecznej, ponieważ „otwartość” staje się w pewnym momencie nie do pogodzenia z istnieniem jednorodnego „społeczeństwa”. Z niedostatku w „otwartym” czy też miltikulturalnym społeczeństwie tego, co łączy i spaja ludzi: kanonu wspólnych zasad i przekonań (w „społeczeństwie otwartym” wszystkie zasady i przekonania są dozwolone i równe sobie), skutkuje podziałem społeczeństwa na coraz więcej odrębnych, wrogich sobie społeczności. W takich warunkach zachowanie porządku staje się możliwe jedynie jeśli następuje adekwatne wzmacnianie struktur władzy. W sytuacji nasilającej się polaryzacji sił między obozem radykalnie liberalnym i nieliberalnym, coraz częściej występuje zjawisko kontestacji wyników wyborów. Kryzys demokracji ujawnia się po ogłoszeniu wyników wyborów w szeregu krajów m. in. ostatnio w Stanach Zjednoczonych i Brazylii, również w Polsce, gdzie opozycja po dwukrotnie przegranych wyborach nie uznała ich wyniku i odwołała się do organów władzy ponadnarodowej, podważając tym samym istotę demokracji, która polega przecież na uznawaniu narodu jako Suwerena. Nie ulega wątpliwości, że wraz z zanikiem postaw obywatelskich wyrażających się troską o dobro wspólne i zakwestionowaniem prawa narodu do wyrażania swej woli w głosowaniu, mamy do czynienia co najmniej z głębokim kryzysem demokracji.

Wykazałem, że współczesne państwa Zachodu przekształcają się lub już przekształciły w państwa liberalnej niedemokracji.

Podsumowanie

Nowe myślenie o sytuacji, z jaką mamy obecnie do czynienia na Zachodzie - tj. głębokim kryzysie demokracji w krajach uchodzących w potocznej opinii za ostoję swobód i wolności - na początku z trudnością będzie ogarniało szersze kręgi społeczne, a najtrudniej będzie przebijało się przez skorupę, wewnątrz której funkcjonują współczesne pseudoelity.

Trudności w rozpoznaniu stanu faktycznego potęguje wszechobecny chaos językowo-pojęciowy. Wielcy manipulatorzy doskonale zdają sobie sprawę, że kluczem do zwycięstwa, czyli skutecznego wpływania na masy tudzież sterowania opinią publiczną, jest nadanie słowom odpowiedniego propagandowego znaczenia. Komuniści w swej agitacji posługiwali się pojęciami: „demokracji ludowej”, „demokracji socjalistycznej”, „władzy ludowej”, „partii przewodniej siły narodu”, „walki z faszyzmem”. Współcześni propagandziści liberalni znacząco udoskonalili narzędzia oddziaływania na umysły. Szermują pojęciami „zagrożenia populizmem”, „odrodzenia faszyzmu”, „obrony praworządności”, „wartości”. W rezultacie nader trudno jest w dzisiejszych czasach prowadzić racjonalny dyskurs, zważywszy, że poszczególne słowa, pojęcia są rozmaicie rozumiane i interpretowane.

Reasumując: musimy zacząć od uporządkowania pojęć i racjonalizacji dyskursu, inaczej pogrążymy się w odmętach emocjonalnych wzmożeń i niekończących się wojnach personalnych, w których naczelną zasadą jest zabójczy dla demokracji, atawistyczny popęd, który najprościej można opisać zwrotem: „kto kogo”. Nie ma innej drogi powrotu do demokracji, jak tylko poprzez promowanie postaw obywatelskich, skupianie się wokół dobra wspólnego, czyli tego, co nas spaja i łączy. Wokół kanonu połączonych ze sobą praw i obowiązków. Wokół wolności, która sprzyja rozwojowi jednostek i której granice określa interes społeczeństwa. Demokracji, czyli ustroju suwerenności narodowej.

Po uporządkowaniu pojęć i powrocie do racjonalnej dyskusji, będziemy mogli zacząć odbudowywać fundamenty zburzone przez radykalnych liberałów. Będziemy mogli odbudować zagubioną normalność i Zachód zacznie odzyskiwać swą dawną witalność oraz wielkość.

Gdańsk, 15 stycznia 2023 r.